№ 28 WARSZAWA d. 29 Czerwca (11 Lipca) ROKU 1874



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15 – w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; – W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

V.

SZCZĘŚCIE.

Starania aby dziecko było dobrem, głównie podejmujemy obok moralnych pobudek w tym celu, aby mu się w przyszłości dobrze działo, czyli żeby było szczęśliwem.

Sądzimy przeto, że określenie co przez szczęście właściwie pojmować należy będzie w swojem miejscu, a choć nie powiemy tu nic nowego, choć przytoczymy dla wielu bardzo oklepane zdania, teoryi tej dla uzupełniania całości nie możemy pominąć. Wreszcie od jéj sposobu pojmowania zależą i środki posługujące do wychowania.

Zwykle o szczęściu człowieka sądzimy z pozoru: jest to proste następstwo zbytniego przywiązania do powierzchowności nęcącej oczy, która w dotychczasowej metodzie wychowania nad treścią jego wzięła przewagę.

Szczęście najpowszechniej łączymy tak z zamożnością, z pieniądzem, że bogactwo a szczęście prawie za jedno uważamy. Powiadamy prawie, bo o innych warunkach wzmianki tak bywają rzadkie, tak o nich napomykamy od niechcenia, że pieniądz główną tu odgrywa rolę a inne warunki podrzędną.

Jeżeli kogoś widzimy używającego wygód i przyjemności, których przyswoić sobie nie możemy ze względu na mniejszą zamożność, powiadamy: szczęśliwy człowiek, ma majątek. Jeżeli ktoś zapyta jak się nam powodzi? zwykle westchnąwszy odpowiadamy.

— Tak jako tako, pcham biedę jak mogę.

— Ale zdrów jesteś przynajmniej? dołoży zapytający.

— Bogu dzięki, odpowiadamy dość kwaśno, to też tyle mego dobrego.

Gdy się dowiemy, że ktoś dorobił się znacznego majątku, zrobił jakąś szczęśliwą bogacącą go spekulacyą, otrzymał znaczny spadek po jakim krewniaku, ożenił się posażnie, albo wygrał na loteryi, w karty lub w hazardzie gry giełdowej, mianujemy takich ludzi szczęśliwemi, dodając często cierpką jaką uwagę z zazdrością bardzo zbrataną. A dziecię słucha tego wszystkiego, czyta powieści o bogaczach rozdających wsie i krocie jako nagrody za dobre czyny: jak ubogaceni bohaterowie byli szczęśliwi, słucha opowiadań o bogatych księżniczkach, o bajecznych krezusach, o rozkoszach z posiadania pieniędzy płynących, gdzie się zwróci wszędzie pieniądz łechcze jego zmysły, drażni oczy, niepokoi uszy, cóż więc dziwnego że dziecię wychowane w takiej atmosferze czci bałwochwalczej dla złota, nabiera wreszcie przekonania, że bogactwo to szczęście, gruntuje go w sobie, utrwala, i rozłakamiając się do majątku, łaknie go całą duszą jako środka spełniającego wszystkie najwyszukańsze marzenia. Pieniądz więc i za pośrednictwem jego chęć używania, staje się teoryą tłomaczącą mu warunki szczęśliwości ludzkiej, którą dziecię tak się przejmie, że później dopiero w dojrzałym wieku poznaje, iż się myliło w swoim sądzie. Ale rozum ten przychodzi już za późno, zwykle w resztkach życia samowolnie niemal skwaszonego, szczególniej gdy okoliczności nie posłużą do zbogacenia się. Takich jest najwięcej. Nic też dziwnego, że narzekania na biedę tak są powszechne, i że młody człowiek niedoświadczony dorwawszy się grosza, marnuje go najnieoględniej, robi długi, dopuszcza się szaleństw i często całe mienie trwoni ze szkodą całej swej przyszłości. Nic także dziwnego, że nie uposażony w mienie rodzicielskie, stara się go zdobyć przez posażne ożenienie, puszczając związek z sobą małżeński na licytacyę kto da więcej: że wychowany w dość skromnych warunkach utrzymania, chwyta się później wszystkich dróg, pieniądz zdobywających, bez względu na ich wartość i godność swego człowieczeństwa; że wreszcie w powierzonych mu obowiązkach zdradza położone w sobie zaufanie,dopuszcza się oszustw, kradzieży, sprytnych wyrachowań krachu wiedeńskiego, pomysłów obdzierających całe społeczności i bankructwa tak często praktykowanego. Duch dzisiejszego czasu na gwałt domagający się dorobku bogactwa, pomijający wszystkiem co tylko dotąd jako szanowane, kochane, wielbione przeszkadzało do zrobienia majątku, nie z innego zrodził się powodu, tylko z pomijania w wychowaniu dzieci, właściwego wdrażania w nie pojęcia co istotne szczęście człowieka stanowi. Wprawdzie wpajano w dzieci potrzebę szanowania i kochania tego, co sami wychowawcy szanowali i kochali, ale gdy pragnienia ich zawód spotykał po zawodzie, a ten nie bogacił tylko systematycznie ubożył, pominięto je, wyśmiano, wzgardzono i samo używanie przez zdobycz złota zostawiono jako jedyny cel wszelkich dążności ludzkich.

Nie ma wątpliwości, że pieniądz nie tylko jest potrzebny, ale jest zarazem i wielką dźwignią szczęścia ludzkiego, ale tylko pomocniczą, bo gdyby tylko samo mienie miało je stanowić, to bogaci powinni być szczęśliwi, a jednak tak nie jest jak nas codziennie doświadczenie przekonywa. Przytem teorya ta z mądrością rozlaną w całym wszechświecie i z doskonałością jaką na każdym kroku spostrzegamy, nie byłaby zgodna. Bogacić się może tylko cząstka ludzi nadzwyczaj mała, reszta milijony obejmująca, może być zamożną i w dobrobycie pod względem materyalnym, lub tylko zabezpieczoną od nędzy z braku powszedniego chleba powstającą, ale bogatą być nie może i nie zostaje nią.

Jakże więc można wyjątek brać za zasadę i na nim opierać całą przyszłość dziecka!

Jak można przypuszczać, aby sprawiedliwość Boska tak wielką ilość ludzi, już samą niemożnością podania im środka do zdobycia owego tak fałszywie pojętego szczęścia, mogła ich od niego stanowczo usuwać? Przeciwnie, do szczęścia na ziemi każdy człowiek prz naczony, zdobyć je każdy może i powinien byleby go w bogactwie jedynie nie widział. Inaczej patrzący, zajęty gromadzeniem grosza jako mniemanego szczęścia podobnym staje się

do ptasznika, który zastawiając sieci starałby się ciągle o powiększanie ich liczby, a o ptakach zapominał.

I cóżby mu po sieciach choćby niemi świat cały zastawił? Pieniądz to siatka dopiero, a i jedną z nich choćby malutką szczęście zdobyć można.

Dla tego i przy bogactwie mało kto uważa się za szczęśliwego: ma sieć ale nie umie jej użyć i szczęście od niego ucieka.

Pragnąc zatem aby dzieci nasze były szczęśliwe, a któż tego nie pragnie? otóż pragnąc tego, przedewszystkiem nie nadużywajmy znaczenia wyrazu *szczęścia*, i nie przypinajmy go do każdej okoliczności z bogactwem złączonej.

Powtarzajmy im ustawicznie, że szczęście nie w bogactwie spoczywa, ale w szczerem wielbieniu Boga, w zdrowiu, w pracy, nauce, w uczciwem życiu, czystem sumieniu, w rozumnej miłości ojczyzny, w chętnem poprzestaniu na tem co się posiada, i w trzymaniu na wodzy pragnień swych i zachciewek a to dla tego, że w Bogu jedyna pociecha w niedoli. w zdrowiu skarb za żadne nie nabyty pieniądze, w pracy dobrobyt, w nauce środek do jego zdobycia i zadowolenie moralne, w uczciwem życiu poszanowanie ogólne, w czystem sumieniu spokój ducha, w miłości ojczyzny najpewniejsza rękojmia własnego dobra, w poprzestaniu na tem co się posiada radość, a w trzymaniu na wodzy pragnień i zachciewek, obrona przeciw naruszeniu tej radości, która w połączeniu z korzyściami powyżej wyrażonemi, obdarza człowieka szczęściem, tak słusznie przez niego upragnionem. Na tej drodze zdobycie jego, każdego może być udziałem, każde dziecko może zostać szczęśliwem, jeżeli w tym kierunku pojęcia jego będą kształcone, łącząc zaś słowo z czynem, wychowujmy je w najmożebniejszej prostocie pod względem wygody i używania.

Niech pokarm jego będzie sycący ale nie rozłakamiający, i tak umiarkowany jak istotnie potrzeba i zdrowie dziecka wymagają: niech ma ubranie schludne i wygodne ale nie wytworne i eleganckie, niech zabawki jego będą proste ale zawsze połączone z korzyścią duszy lub ciała, to samo rozrywki niech zawsze pożytek z nich na pierwszym bywa względzie. Zamiast więc do teatru, cyrku, na bale, muzyki, koncerta, różne sztuki i tym podobne widowiska, prowadźmy dzieci do warsztatów pracy ludzkiej, na pole, do ogrodów, do gabinetów zoologicznych, do menażeryi, objaśniajmy im różne zajęcia rzemieślnicze, potrzebę pracy, jej godność i pożytek, cuda natury, rozmaitość, stosując to wszystko do przyszłego obywatelstwa dzieci i płynących ztąd obowiązków dla kraju i całej ludzkości. Ograniczenie takie pokarmu i ubioru dzieci do istotnej potrzeby, a przyjemności ich do samego pożytku, nie przeczymy że szczególniej dla matek wyda się zbyt spartańskiem i trudnem w zastosowaniu ale tu właśnie jest granica, w której miłość a raczej zbytnia czułość serca powinna ustąpić przed rozumem. Wygórowane łakomstwo grosza, całe społeczności i jego przedstawicieli zawsze pędzi do ruiny: spartanizm według potrzeb czasu rozumnie zastosowany do wzajemnego uszczęśliwienia.

Nie usłuchawszy głosu tego rozumu narażamy dziecko na wielkie złe, z którego ze szkodliwych następstw, nic już później nie zbawi. Dziecko wyszukanym pokarmem i przysmaczkami rozłakomione cały organizm tak do tego przyzwyczai, że później każda zmiana mniej wykwintna staje się przykrą, a czasami nie do zniesienia. Ubierane w jedwabie, zbytkownie i elegancko, w drogie sukna i futra, w łańcuchy, zegarki i pierścionki, przywykłszy do nich w miarę rozwoju życia pragnie coraz nowszych strojów, a żądza ta podsycana od najmłodszych lat bez żadnego, hamulca, z czasem do tego stopnia wzrasta, że ogarnia całą istotę człowieka, dla modnego stroju gotowego ponieść największą ofiarę.

Przyzwyczajanie także dzieci do rozrywek starszych ściera z nich nowość tak pożądaną. Dzieci wzrastając oswajają się z niemi, nużą, przesycają, i gdy przyjdzie pora właściwego ich używania, już w nich nie znajdując przyjemności, szukają czegoś innego nierzadko w zdrożnym kierunku. Młodych starców, znudzonych życiem, przesyconych wszystkiem znaleźć można dosyć często: narzekających zaś, biedzących się, niezadowolnionych i skwaszonych, można liczyć na tysiące. Są to wszystko ofiary zbytniej czułości matek, które otoczywszy swych wychowańców zbytkiem we wszystkich ich potrzebach, tak go zrobiły niezbędnym, tak wzmogły jego domagania się że zaspokojenie stało się niepodobnem.

Którzy zresztą rodzice ręczyć mogą za przyszłość swego dziecka? Czyż nie rozsądniej przyzwyczajaniem do mierności zabezpieczać je na wszelkie koleje niepewnego losu, jak samowolnie stawiać go w warunkach tych zmian nie znoszących?

Niechże więc rozum będzie nieodstępnym towarzyszem wychowujących i to przekonanie, że tu nie idzie o chwilową przyjemność dzieci ale o szczęście całego ich życia. Ponętny jest uśmiech dziecka i jego niekłamana radość z wdzięcznością połączona, za dary które mu przyjemność przynoszą, ale stokroć razy powinno być ponętniejszem przekonanie, że nie dogadzając zbytecznem zachciewkom dzieci, budują się fundamenta niewzruszone do gmachu przyszłego jego szczęścia, i że niezadowolenie dziecka gdy mu coś z rozumnych pobudek odmówionem zostanie, z czasem zmieni się w szacunek i wdzięczność dojrzałego człowieka, który zrozumie, że szczęście jakie doświadcza winien jest jedynie dobremu wychowaniu. Takie następstwa godne są wszelkiej ofiary, matka nie byłaby nią, gdyby do niej nie była zdolną.

Wyłożywszy ogólne tło na którem wychowanie powinno się rozwijać, i cel do jakiego niem dążyć należy, przejdziemy teraz do szczegółów i rad mających posłużyć aby dobro i szczęście stało się zdobyczą dziecka, gdy wyrośnie na dojrzałego człowieka.

KARL HENRYK

PRZEZ

Juliusza Sandeau

z francuzkiego przełożyła **Józefa K.**

(Dokończenie).

IV.

Pożywszy na świecie, wiemy dobrze, co znaczą między przyjaciołmi te obietnice pisywania listów, szczególniej w owym burzliwym wieku, kiedy przyjaźń ustępuje miejsca tym inszym uczuciom. Otrzymałem list od Karola w Genewie. Odpowiedziałem mu z Florencyi.

Na tem się kończyły nasze znoszenia listowne, ale wpośród pochłaniających mię wydarzeń i wrażeń, wszędzie towarzyszyła mi pamięć i obraz tego młodzieńca, zawsze spotykałem go w myślach, jako największą radość czekającą na mnie za powrotem.

Szukałem jego nazwiska we wszystkich dziennikach francuzkich, które wpadły mi w ręce. Nie wątpiłem, że wkrótce gwiazda jego zaświeci żywym blaskiem.

Po czterech latach nieobecności naszej, przejeżdżałem przez Brery, wracając do Paryża (bo pszczoły, czy trutnie zawsze tam ściągają); skorzystałem z wypadku pocztowej karety i pieszo udałem się do poblizkiego miasteczka, gdzie była stacya nasza. Jakoż ujrzałem je zalotnie uśmiechające się na pochyłości wzgórka. Położenie było rozkoszne: domy otoczone zielonością, dzwonnica górująca po nad wysokiemi drzewami, rzeka u stóp pagórka, most więcej malowniczy jak bezpieczny, piękna topolami wysadzona ulica, wszystko to mię zachwycało; byłem w podziwieniu nie domyślając się, że mam przed sobą siedlisko złych i głupich ludzi.

Zaledwiem wszedł wewnątrz miasteczka, zmieniła się postać rzeczy. Siedziby ludzkie są często niby jaskinie dzikich zwierząt wśród lasu ukryte, około nich świeżość i zapach, trawnik gęsty, źródło świeżej wody, ale wewnątrz, to kostnica smrodliwa i odrażająca.

W końcu uliczki brudnej, wązkiej i źle zabrukowanej, nazywającej się skromnie królewską, zatrzymałem się nieco na placyku obsadzonym drzewami, udającym ogród. Kilku mieszczan dobrze zarumienionych, z poważną miną przechadzało się z fajką w ręku. Dla rozrywki zatrzymałem się również przed sklepem bardzo podejrzanej powierzchowności, na zewnątrz którego czytałem afisze porozlepiane. Dowiedziałem się z nich mnóstwa rzeczy, a najprzód, że miałem zaszczyt znajdować się w murach miasta S-nt Florent, następnie, że p. de St. Ernest i panna Plantamur, pierwszo-rzędne figury Teatru francuzkiego, udając się na dwór króla Sardyńskiego, gdzie są niecierpliwie oczekiwani, raczyli się zatrzymać na parę dni w St. Florent dla odegrania najpiękniejszych sztuk swego repertoaru; dalej że sławny Lojal artysta napowietrzny „wzniesie się za pomocą balonu w niedzielę, po nieszporach, i puści sztuczne ognie na miasto z wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy stóp nad powierzchnią morza. Następnie czytałem ogłoszenie, iż przybyła do S-t Florent menażerya, która oprócz wielu ciekawych zwierząt zawiera żyjące dwa ogromne zwierzęta przedpotopowe, tem rzadsze, ogłasza afisz, że rasa ich od kilku tysięcy wieków zaginęła na ziemi. Dalej szły ogłoszenia sądowe, jak n. p. dobra mogące być sprzedane razem lub oddzielnie, drzewo na sążnie, licytacye, przysądzenie kupna i t. p. Alež, dla Boga, jakież było moje zdziwienie a raczej osłupienie na widok tych kilku wyrazów: interesanci raczą się zgłoszyć do Karla Henryka, patrona S-t Florent! On patronem, mój Karl! patronem w S-t Florent! Niestety, pomyślałem z goryczą, zabrakło mu energii i woli; upadł w walce! Motyl znów został poczwarką, z lilii pozostała tylko cebulka szara i zbłocona.

Chciałem jednak powątpiewać jeszcze, czy to on był rzeczywiście.

Spotkane dziecko, któremu wspaniałomyślnie dałem na dwa przejścia mostu sztuk pięknych gdy będzie w Paryżu, zaprowadziło mnie do kancelaryi pana Karla.

Wszedłem do domu dużego, zkąd wiała cisza i smutek. Kancelarya była po lewej stronie na dole, na prawo widać było ciężkie wschody prowadzące na wyższe piętra, z których właściciel domu na Chaussé-d'Autin znalazłby sposób zrobienia co najmniej dwóch lub trzech całkowitych mieszkań. Po za domem ujrzałem mały ogródek, w którym rozliczne kwiatki radowały się jesiennem słońcem.

Z głębokiem wzruszeniem odemknąłem drzwi kancelaryi i znalazłem się w pokoju wilgotnym i ciemnym, gdzie siedziało dwóch dependentów, których zajęcie dowcipne okrutnie zacząłem obserwować, czekając na nieobecnego patrona. Zajęcie to polegało na łapaniu much latających w koło ich przyrządu do pisania i zamykania pod łupinę orzecha z przewierconą u góry prawie niedostrzeżoną dziurką. Po dokonanem

uwięzieniu śledzili usiłowania wydobycia się na wolność, a gdy niewolnica ośmieliła się wsadzić główkę w otworek nieszczęsny, jeden z młodych katów odcinał ją natychmiast ostrzem scyzoryka. Byłem świadkiem kilku tuzinów takich egzekucyi. Szczęściem powrót patrona położył koniec tym krwawym operacyom. Na odgłos jego kroków jeden z terrorystów, schował pośpiesznie do kieszeni torturowe narzędzie, i obadwaj schwyciwszy za pióra, zaczęli pisać zajadle.

To był on, mój Karl Henryk, powracał z trybunału z ogromną pliką papierów pod pachą, zawierających przeróżne obrony; jak Katylina, ciskał on zapewne gromy przeciw gromadzie kaczek, które się ośmieliły plądrować po łące jego klienta. Rzuciliśmy się sobie w objęcia; ucałowawszy mnie po kilka razy wciągnął do ogrodu i usadowił w altanie pokrytej chmielem i winną latoroślą.

Łatwo pojąć, ile radości z obudwu stron, ile wzajemnych pytań zostawionych często bez odpowiedzi!

— Mówmy najprzód o tobie—rzekł nalegająco—potem na mnie przyjdzie kolej.

— Ja nie mam wiele do opowiadania—rzekłem—trochę podróżowałem z czego to jedno mam zadowolenie, że wracam do domu. Upewnić się, że ludzie wszędzie ciż sami, wszyscy ulepieni z tej samej gliny, podlegli tym samym niepokojom, miotani temiż namiętnościami, znaleźć wszędzie ten sam obraz nędzy; zmieniać ciągle miejsce a nie módz odmienić siebie; błąkać się samotnie, przenosząc się z miasta, nie czując ich stosunku z przeszłością, związku z przyszłością, ciągnąć za sobą wyczerpaną ciekawość; podziwiać pomniki, będące najczęściej dowodem dumy, obłędu lub nieszczęścia ludzi, trudzić się wyszukiwaniem okolic pięknych, gdy ma ich piękniejsze w ojczystym kraju: oto co się nazywa podróżować, jest to z pewnością najsmutniejsza ze wszystkich przyjemności. Mówmy lepiej o tobie przyjacielu. Wreszcie ten, co nigdy nie opuszczał rodzinnego ogniska, więcej nierównie wie od tych, co zwiedzili odległe strony; jeśli tylko dobrze zbadał swoje serce, więcej on poznał krain niżeli ten, co świat do koła objechał. Jakim dziwnym przypadkiem znajdujesz się tu, w tej mieścinie, w głębi tej prowincyi, w tej ponurej kancelaryi, ty, któregom zostawił przed czterema laty w Paryżu rozkochanego w sztuce, pragnącego sławy, pełnego zapału i natchnienia?

Widząc że milczy, lękałem się czym nie obraził jego miłości własnej, czym nie dotknął jakiej bolesnej struny jego serca.

— Nie gniewaj się za moje pytania—zawołałem—myślmy raczej o radości z widzenia się.

— Idź, powiedział nareszcie—odwołaj pocztę: będę cię czekał z obiadem.

W godzinę powróciłem kancelarja była zamknięta; wszedłem na pierwsze piętro, Karl sam mi drzwi otworzył. Wziął mię za rękę i poprowadził do wielkiego salonu, gdzie siedziały dwie kobiety pod oknem. Przywiódł mię przed nie, i zwracając się do starszej; Moja matka, a to mój przyjaciel, o którym tyle razy mówiłem—rzekł, dodając moje nazwisko Potem przedstawił mi młodszą, która wstała na moje przyjęcie:

— Przyjacielu—rzekł—to moja żona.

Przez chwilę byłem pomieszany: liczyłem na obiad kawalerski, wcale nie spodziewając się zastać Karla żonatym. Spojrzałem na jego żonę: młodość ją krasiła, a więc nie była szpetna. Spostrzegłem wkrótce, że matka była ciemna: miała twarz pospolitą, cierpką i zachmurzoną.

— Panie—odezwała się głosem przykrym—masz za przyjaciela wielkiego nicponia: nie pochlebiając, spodziewam się, żeś pan więcej wart od niego.

— Matko—odrzekł Karl łagodnie, nasz przyjaciel jest zbyt skromny i zbyt pobłażliwy, żeby to przyznał.

Zrazu myślałem, że to były żarty starej matki, ale po zachowaniu się syna zrozumiałem, że mówiła na seryo, w czem utwierdziła mię młodsza mówiąca z kolei:

— Daj pokój mamo, nie łaj go, on jest dobry, poczciwy, biedak, tego miesiąca dosyć pracował. Stawał w obronie na wszystkich posłuchaniach i wygrał dwanaście procesów.

— To, to, to—odpowiedziała mrucząc staruszka—to próżniak, który umrze, nie zwróciwszy kosztów swej nauki.

— Matko—rzekł Karl, klękając przed nią —jesteś czasem bardzo surowa. I ucałował jej rękę.

W tej chwili drzwi salonu się otworzyły i weszły trzy kobiety nie pierwszej młodości i piękności, z wyjątkiem jednej, która zdawała się być w wiośnie życia, i odznaczała się wdziękiem i niewysłowionym powabem. Dwie pierwsze mogły mieć około 28 do 30-tu lat; podobne były do tych wybujałych kwiatów, co więdną nie rozwinąwszy się dla braku ożywczego wiatru i odrobiny słońca. Powitały mię chłodno i obojętnie; najmłodsza przyglądała mi się ciekawie.

Czy znacie co wymowniejszego i wspanialszego nad ten ustęp z *Ifigenii w Tauradzie*, kiedy Orest przedstawia swej siostrze przyjaciela „To Pylades, moja siostro.” Nic więcej; ale słowa te wygłoszone, w których jak mówią Talma genjalnie odmalował przyjaźń starożytną, kogo by nie poruszyły, ten nie wart mieć przyjaciela. W taki-to sposób Karl przedstawił mię siostrom: słysząc moje nazwisko najmłodsza uśmiechnęła się, a blady promyk przemknął się po zamglonych twarzach dwóch innych. Obsiedliśmy ciemną matkę i rozmowa się zawiązała. Mówiono o Paryżu.

— To siedlisko potępienia!—rzekła staruszka.

— Karl też tam niejedno szaleństwo popełnił!—dodała starsza siostra, przygryzając wargi.

—Jeżeli na nieszczęście będę mieć syna, przysięgam że nigdy tam noga jego nie postanie — dodała młoda pani Karlowa.

— Mówią, że często w biały dzień porywają tam kobiety—mówiła druga siostra z oburzeniem.

— A jabym chciała tam pojechać—rzekła trzecia wzdychając.

W ciągu krótko trwającej tej rozmowy odgadłem, że wszystkie te kobiety nienawidzą się wzajemnie. Oh! piekło musiało być w tym domu. Dwie stare panny zazdrościły swojej bratowéj, a ta znów zazdrościła wdzięków i szlachetnej postawy najmłodszéj.

Karl milczał, a ja w duchu płakałem nad nim.

Wtem tłusta kucharka pełniąca zarazem obowiązki pokojowej w domu Karla, ukazała się we drzwiach oznajmiając, że obiad na stole; udaliśmy się do jadalnego pokoju.

Z ułamka przytoczonej rozmowy łatwo się domyśleć, o czem mówiono przy stole. Szczególniej mnie to dziwiło, że wyjąwszy najmłodszej siostry, która zdawała się szczerze brata kochać, wszyscy obchodzili się z panem domu z lekceważeniem, niemal z pogardą, i dziwną litością. Nie okazując najmniéjszéj obrazy, Karl przeciwnie otaczał tak matkę jak żonę i siostry uszanowaniem, względami i miłością. Ośmieliłem się mówić o talencie Karla w grze na skrzypcach. Biedak spojrzał na mnie z miną błagającą, ale już się stało. Nazwano go głupcem, waryatem, artystą, poetą, a wszystkie te nazwy jedno znaczyły w mniemaniu tych co je wymówiły. Matka oświadczyła, że całe szczęście tych gałganów skrzypców, że jest ślepą, bo dawnoby je w ogień wrzuciła, gdyby jej w ręce wpadły.

— Ach! panie—zawołała żona Karla z żalem—trudno pojąć, ile złego te skrzypce wyrządziły memu biednemu mężowi!

— Te skrzypce go zgubiły—dodała jedna ze starych panien.

— Gdyby choć umiał na nich grać jak należy—dodała druga.

— Ale kochanek nie umie nawet zagrać do tańca—dorzuciła małżonka z litością.

Karlowi dwie duże łzy stanęły w oczach, i dostrzegłem jak młodsza siostra ukradkiem ściskała jego rękę pod stołem.

Koniec obiadu odznaczył się wejściem bydlaka, którego łatwo mogłem posądzić, że się wyrwał z menażeryi ogłaszającej się po rogach.

Był-to potężnie gruby mężczyzna, ciężko stąpający, z miną podejrzliwą i przebiegłą; podobny do lisa i hipopotama zarazem. Domyśliłem się, że mam przed sobą teścia Karla, zarazem jego poprzednika w urzędzie; w rzeczy samej był-to ten sam poczciwy człowiek, który odstąpił adwokatury i córki memu nieszczęśliwemu przyjacielowi. Dał dwadzieścia pięć tysięcy franków posagu swej córce, i sprzedał za 75 tysięcy franków swemu zięciowi adwokaturę, wartującą zaledwie 40-ci tysięcy franków. Tym sposobem pozbył się córeczki i zarobił jeszcze dziesięć tysięcy franków na tym interesie.

Wszedł z rękami w kieszeniach, w kapeluszu na głowie, z bezczelnością grubiańskiego wierzyciela który przychodzi w odwiedziny do swojego dłużnika. Czy to nie spostrzegłszy nieznajomego, czy też nic sobie z niego nie robiąc, odezwał się w te słowa, patrząc na stół.

— Patroni za moich czasów mniej zastawiali półmisków, ale za to mieli zawsze chleb w komorze.

Na te słowa, Karl powstał blady i drżący od gniewu.

— Otóż! czego się dowiaduję o tobie, mój panie zięciu—wrzasnął, nie dając mu przyjść do słowa,—piękne rzeczy! To to ty odrzucasz sprawy pod pozorem, iż nie są słuszne. Wiedz-że o tem, że te tylko są złe sprawy, co nic nie przynoszą.—

Co ty sobie myślisz? Czy chcesz zrujnować moją kancelaryą, a moje dziecko do nędzy doprowadzić?

— Panie—odrzekł,Karl z godnością—zapominasz, że twoja kancelarya została moją własnością, że twoje interesa nie są mojemi, i że jestem panem we własnym domu.

— Nieszczęsny!—krzyknęła matka spazmatycznie—znieważasz twego dobroczyńcę! Nie pozostaje ci jak wypędzić siostry i matkę.

— Co u stu djabłów!—wrzeszczał dalej teść, tupiąc nogą—winieneś mi 20 tysięcy franków i odmawiasz prawa wtrącania się do twych interesów! Zapłać mi, to zostawię cię w spokoju, ale tymczasem nie zniosę twojego marnotrawstwa z moją krzywdą.

— Ah! kochany panie Janneret—odezwała się matka w rozpaczy—zawsze z niego był taki utracyusz, on nieszczęsny jest przyczyną, że mój kochany mąż ze zmartwienia do grobu wstąpił.

— Ah! jakaż ja nieszczęśliwa—krzyczała żona Karla, rzucając się z płaczem w objęcia swego godnego rodzica.

— To pewna, że jeśli Karl dalej tak będzie postępował—dodała stara panna, to straci poważanie godnych ludzi.

— Co tam braciszku, niech sobie gadają, co im się podoba—szepnęła najmłodsza siostra—całując go, tam wysoko jest ojciec, co cię błogosławi, a tu na ziemi ja cię kocham. Karl przytulił ją do serca z czułością, potem skinął na mnie i wyszedł niewzruszony i poważny.

V.

Zostawszy sam na sam ze mną. Karl oparł łokcie na stole, głowę zwiesił na ręku i milczał długo, a cała postawa świadczyła o moralnem jego zgnębieniu.

Patrzyłem nań ze smutkiem, a mierząc w myśli głębię przepaści, w którą dał się pociągnąć, uczułem dlań litość z pewnym rodzajem wzgardy. Obwiniałem go mimo woli, że upadł w walce zaszczytnej którą przedsięwziął, przekładając nad poetyczną biedę to, co świat nazywa *stanowiskiem korzystnem i zaszczytnem*.

Jak gdyby się domyślał, co się we mnie dzieje:

— Mój przyjacielu—rzekł nareszcie—zapewne potępiasz mnie w myśli, żem upadł tak nisko: ileż to razy ja sam płakałem nad moim upadkiem, ale Bóg tylko mnie osądzi, ufam Jego sprawiedliwości i dobroci. Moja historya jest bardzo prosta; opowiem ci ją w kilku słowach. Rodzina moja zawsze była biedną; wcześnie więc pamiętałem, że mam być na przyszłość jedyną jej podporą.

W tym celu rodzice dali mi to, co nazywa się wyższem ukształceniem. Przez miłość, czy ambicyę, że tak powiem, krwi własnej,niczego mi nie szczędzili,największe poświęcenie spełniali bez szemrania, moim siostrom wszystko odejmowali, aby mię zaopatrzyć. Wiesz jakie fatum popchnęło mię do zawiedzenia nadziei, jakie we mnie położyli. Wiesz także, żem nie postąpił lekkomyślnie. Długo walczyłem z pociągiem i skłonnościami, gdym w końcu uległ na słowo Baillota, długo obwiniałem się z goryczą, żem rozrządził przeciw woli rodziców losem, który już do mnie nie należał. Uspakajałem się jednak myślą, że w naszych czasach, sława i majątek trzymają się za ręce, a przekonanie, że kiedyś zbogacę rodzinę, dodawało mi wytrwałości w nowo obranym zawodzie. Długom walczył, dużo wycierpiałem, broniłem się uciskom nędzy: szedłem wciąż obarczony wyrzutami i przekleństwem; starsze siostry nazywały mię złym bratem; matka złym synem, najmłodsza przysyłała mi czasem oszczędzone pieniądze, które ojciec niekiedy pomnażał swojemi, bo on mię kochał, mój drogi ojczysko. Szedłem zatem, posuwałem się naprzód, głos wewnętrzny mówił mi: idź! i szedłem z pokaleczonemi nogami, i z zakrwawionem sercem; a jednak gdy chciałem stanąć: idź! wołał głos nieszczęsny i znów puszczałem się w drogę.

O moja izdebko! urocza sztuko! rozkoszna praco! świątynio samotna! ubóstwo! swoboda! sny sławy! Nareszcie minęły dni próby, a stroma góra wyrównała się nieco pod memi stopami; powstał na około mnie jakoby wiatr co rozpędził chmury na niebie i ze szczytu góry ujrzałem ziemię obiecaną.

Nazwisko moje nieznane ogółowi, artystom nie było już obce. U Baillota, grano moje utwory; pierwsze tchnienie sławy objęło mię pieszczotliwie, jak lekki wietrzyk zapowiadający wschód jutrzenki. Baillot wierzył w mój geniusz, i ja sam, o! przebacz mi Boże ten ostatni objaw pychy,którą stłumiłeś tak strasznie, czasem zaczynałem weń wierzyć. Ale w chwili kiedy przewidywałem w przyszłości jeszcze bardzo odległej, nagrodę moich usiłowań, padłem piorunem rażony na skałę rzeczywistości.

Mój Ojciec umarł! O! wieczna boleści! on umarł, a ja nie byłem przy nim w ostatniej jego chwili. Jego oczy zamykające się na wieki nie spoczęły na mnie poraz ostatni, nie pożegnał się ze mną i nie pobłogosławił, łzy moje nie spłynęły po drogich zdrętwiałych rękach.

O! było to zacne, kochające serce! dusza piękna i szlachetna! Przyjacielu! jeśli twój ojciec żyje jeszcze, nie odkładaj na później powetowania chwilowej obojętności i zapomnienia tak pospolicie się zdarzających w stosunkach ludzkich, uświęconych nawet najświętszemi węzłami! Spiesz się z okazaniem mu twej miłości, bo nic niepewniejszego nad tę przyszłość, w której zamierzamy nagrodzić błędy przeszłości, i spłacić długi serca. Wierz mi, wielki to wyrzut sumienia i wielka rozpacz dopiero na grobie spłacać ten dług miłości.

Zrazu uczułem jedynie stratę ojca, ale gdym wyjrzał z po za łez, strach mię zdjął przed ogromem nieszczęścia. Śmierć ta pozbawiła matkę i trzy siostry wszelkiego utrzymania. Dochodami zajmowanej przez siebie posady pokrywał zaledwie koszta utrzymania rodziny, pieniądze z trudnością oszczędzone pochłonęła moja nauka i utrzymanie w ciągu trzech pierwszych lat spędzonych w Paryżu. Matka ociemniała i siostry przywykłe do życia skromnego, ale dostatniego na raz ujrzały się w nędzy! Rozebrałem na zimno moje położenie. Zaczynałem wprawdzie przewidywać koniec pomyślny moich usiłowań, ale byłem od niego jeszcze bardzo daleko.

Nie dosyć jest wysnuć pracą i tajemnicę talentu, trzeba jeszcze zdobyć powodzenie. Wszystko na tem zależy, aby się powiodło, a gdy się raz powiedzie, trzeba, żeby się to powtarzało znowu i bez końca. Dla mnie było to tylko zadaniem czasu, ale teraz nie mogłem wyczekiwać.

Wiesz zapewne o przeszkodach bez liku, jakie artysta—muzyk musi zwyciężać i obalać. nim się ukaże publiczności. Gdybym był pisarzem lub poetą, mógłbym próbować szczęścia: jako muzyk przepadłbym. Bogu tylko wiadomo, co się działo we mnie podczas tej walki z przeznaczeniem; to com przecierpiał, utrzymuje moją ufność w Jego sprawiedliwość i dobroć!

Matce i siostrom już głód zagrażał, nie było czasu do namysłów, Wyrzekłem się gry hazardowej, nazwanej sławą. Sprzedałem moje partycye, i pieniądze za nie posłałem matce; załatwiłem nieliczne interesa i nie mówiąc nikomu udałem się pieszo do miasta rodzinnego. Nie byłem już tym Karlem, którego znałeś przed parą laty, tamten sam siebie poświęcił w ofierze na ołtarzu obowiązku.

Po tych słowach, umilkł, a ja ująwszy jego rękę ściskałem ją ze czcią i uwielbieniem.—

— Przyjacielu, ciągnął dalej, łatwo resztę odgadniesz. Wiesz, że się uczyłem prawa i procedury. Napotkałem człowieka chcącego się pozbyć córki i swej kancellaryi, wziąłem jedną i drugą, i dopełniła się ofiara. Ile zniosłem nie zdołasz sobie wyobrazić. Początki były okropne: musiałem walczyć nie tylko przeciw sobie, ale przeciw głupcom i niegodziwcom, między któremi żyć mi przyszło. Mój drogi, obrzucano mnie obelgami i pojono goryczą. Dodaj do tego przykrości stanu, w którym prawie nie podobna zostać bogatym bez zubożenia swej duszy. Nikt na świecie nie dowie się ile wycierpiałem. Moja skłonność do muzyki podała w wątpliwość o zdolności prowadzenia interesów, skrzypce pozbawiły mnie dobrej opinii, musiałem wyrzec się przyjemności dotknięcia ich ręką. Moi koledzy, plemię gorsze od tygrysów, rozpuścili pogłoskę żem waryat; wtedy klienci rozpierzchli się i po wielu trudach udało mi się dopiero pozyskać ich na nowo.

Raz na balu w podprefekturze na, który zaproszono mię z matką i siostrami, w braku grajka który nie dopisał, chciano abym go zastąpił. Wcale się nie wzdragałem. Posłałem po skrzypce i zacząłem grać na przyśpieszone tempo ów walc, coś go tak lubił: *Ostatnią myśl Webera.* Wszystko szło dobrze z początku, ale nie wiem, jakim sposobem nieszczęsnym zapomniałem o balu i ludziach otaczających mnie.

Nie postrzegając się zacząłem stopniowo takt zwalniać i grałem jak to niegdyś w mojej izdebce gdym ciebie miał za jedynego słuchacza. Gdym grał, wszystkie miłe wspomnienia obudziły się w mem sercu: w zadumie i smutku poczułem łzy płynące mi po twarzy. Nagle zbudziłem się: walcujące pary siedziały nieporuszone, patrząc na mnie ze zdziwieniem, złośliwi ukradkiem się śmieli, głupcy litowali się nademną; żona moja zemdlała a teść wskróś przeszywał mię nienawistnem spojrzeniem. Podprefekt oświadczył mi, że grałem fałszywie, a pani podprefektowa odezwała się. że wartoby kazać służbie za drzwi mię wyrzucić. Wyobraź sobie, na jaką zdobyć się musiałem energią, aby po takim wypadku podnieść się w opinii miasta! Zdaje mi się. że ten stan próby i to powtórne dosługiwanie się dobrej reputacyi trwa jeszcze. Spełnię to zadanie do końca. Gdy mamy obowiązek za punkt oparcia, wola nasza staje się dźwignią mogącą jeżeli nie przenosić góry, to przynajmniej podpierać je. Nie sądź jednak mój przyjacielu, żebym chciał się podać za bohatera rezygnacyi nie bawię się w męczeństwo. Miewam ja tajemne bunty wewnętrzne, mam też tajemne pociechy. Moja rodzina nie jest zawsze tak przykrą; jest pobłażliwszą niż ci się to może wydawać. Trafiłeś na zły dzień. Matka stetryczała od starości i choroby, ale w głębi serca kocha mnie. Siostry starsze straciły młodość w panieństwie; trzeba im przebaczyć przystępy złego humoru. Moja żona nic a nic mnie nie rozumie, ale to wina więcej jej wychowania jak charakteru. Teść bywa w dobrym humorze przy stole. Joanna siostra najmłodsza jest moją radością, pociechą, moim aniołem opiekuńczym. Jest mi siostrą nie tylko przez pokrewieństwo, ale przez uczucia i upodobania. Lubi muzykę, przyjemnie śpiewa. W nocy gdy już wszystko spoczywa, wychodziemy na palcach i udajemy się do najdalszego zakątka. Gram na skrzypcach ona śpiewa, i tak wyprawiamy sobie koncerta, bacznie jednak wystrzegając się aby kogo nie zbudzić. Raz na tydzień schodzimy się na umówionem miejscu w polu. Każde się wymyka cichaczem; spotykamy się za parkanem, ztamtąd pędzimy przez pola, rozmawiając o sztuce, poezyi, a często o naszym ojcu, który szczególniej miłował nas dwoje. Kochamy się jak prawdziwe dzieci boże; zazdrość mojej żony, która nas podgląda jak dwoje kochanków, dodaje naszej miłości jeszcze więcej uroku i powabu.

Takie jest moje życie, cierpię i dziękuję Bogu, który spuścił promyk słońca na mury mego więzienia, i dał zejść kwiatkowi między kratami mego okna, tak mówił Karl Henryk.

Cóż mam dodać do tego prostego opowiadania?

Wyjechałem nazajutrz, i chcąc skończyć jak zacząłem, pytam się: czy sądzicie że historya w całej swej okazałości znajdzie wielu większych bohaterów nad tego biednego patrona z prowincyi?

KONI EC.

GROTA KOŁO HANIBALU.

W AMERYCE PÓŁNOCNEJ,

z podróży[1]

Sygurda Wiśniowskiego.

Przed kilku tygodniami odbyłem wycieczkę do Union City, miasteczka w stanie Missuri, blisko rzeki Missisipi. Chciałem poznać liczne osady rodaków rozsiane po dolinach i na stokach wzgórz Stanu tego. Gdy zaś przy tej sposobności ujrzałem grotę choć

ogólnie znaną i może najdłuższą na kuli ziemskiej. lecz nieopisaną w żadnym z czytanych przezemnie dzieł podróżników po Stan. Zjedno. w krótkości opowiem wam o ciekawości owej.

Towarzyszami mej wycieczki byli, czekający na mnie u grobli dla parowców, amerykański literat z St. Louis, stolicy Stanu, i kupiec z Hannibal służący za przewodnika oprócz 4 pań, z których jedna była zaręczoną z owym literatem a druga siostrą kupca. Przypadek sprowadził nas do jednego hotelu, a wspólna chęć zwiedzenia groty połączyła w towarzystwo.

Wspominam o paniach by odwieść wszystkich włóczęgów bezżennych, od zabierania na wyprawy podobnych towarzyszów płci pięknej. Udając się wraz z niemi narażają się na największe niebezpieczeństwo, bo któż pojmie i opisze wpływ owych sekund nad przepaścią bezdenną, owych podań ręki, lub ramienia lub wspierania drobnej nóżki po ślizkich głazach, owych wreszcie usiłowań wlania otuchy i krzepienia odwagi. Mówiłem to rodakowi młodemu i niedoświadczonemu lecz wierzyć nie chciał, dalszy ciąg opowiadania wykaże trafność mych przestróg. Tu tylko dodam, że jedna z pań, kuzynka Amerykanina z St. Louis, należała do rzędu owych aniołków zabłąkanych na ziemię, wątłych, pięknych i ciągle potrzebujących pomocy mężkiej. Wychowana z kuzynem i uważająca go za brata, nie liczyła na jego wsparcie, gdyż innej podobnej towarzyszył: my więc musieliśmy roztaczać nad nią opiekę.

Wchód do groty znaleźliśmy o 2 mile ang. od Hannibalu, o pół od brzegu Missisipi. Jestto otwór w ścianie spadzistej niezbyt wyniosłych pagórków, biegnących przez kilkaset mil równolegle z rzeką. Wysokość bramy wynosi stóp 15—20, szerokość stóp 10. Korytarz wstępny ciasny zrazu rozszerzał się coraz bardziej i zmienił się wreszcie w sklepioną galeryę. Trzymając pochodnie po nad głowami, ujrzeliśmy długie, iskrzące czerwonem światłem stalaktyty. Ogromny głaz tej formacyi znać oderwany od sklepienia leżał wzdłuż krużganku. Przewodnik nazwał go pacierzem szatana, gdyż rzeczywiście wygląda jak olbrzymia kość pacierzowa. Nieboszczyk dyabeł musiał być sporego wzrostu, gdyż kość pacierzowa ma przeszło 40 stóp długości.

Długie, jużto nizkie i wązkie już to wysokie i przestronne chodniki, wybiegały na prawo i na lewo. Liczby i strzałki wyryte na wapieniu u wstępu służą za drogowskazy. Omijając je więc znaleźliśmy „Grand salon." Sklepioną salę tak olbrzymią że 8 pochodni i cząstki jej nie oświetlały. Rozsiawszy się w niej nie widzieliśmy jeden drugiego, tylko płomyki czerwone wyglądały jak błędne ognik snujące się po tle zupełnie czarnem. Sala ta ma 400 stóp długości, 120 szerokości a 80 wysokości i zawalona w znacznej części ułamkami stalaktytów wysokości dorosłego człowieka dochodzących.

Gładki wapień jednej jej ściany, okrywają wyrzeźbione nożami nazwiska przeszłych gości. Tu Abraham Lincoln w roku 1835 więc jako cieśla jeszcze wyrył imię. Zbieracze autografów daliby wiele za tak rzadki podpis i pewno wymyślą sposób wycięcia bryły nim ozdobionej. Czegóżby się nie dopuścił angielski lub amerykański turysta.

Znów zapuszczamy się w długie krużganki. Jeden z nich zmierzony niedawno i mający 4.900 kroków długości, bieży w prawo, inny zmierzony na 7000 kroków bez znalezienia końca, biegnie w lewo. Stykają się pod kątem 150, oba więc przebijają ziemię najmniej na milę geograficzną. Chmara nietoperzy trzepiąc się około świateł naszych i uderzając wprost w iskrzące oczy pań, szerzy popłoch w oddziale całym.

Na szczęście mała kapliczka ze źródłem jak lód chłodnem zwanem „Studnią czarodziejską" już niedaleko. Tam nie prześladowani przez nietoperzów krzepimy panie wodą lodową z winem mieszaną, nim puścimy się na dalsze odkrycia. Krużganki o śliskiej glinianej podłodze coraz pochylej zagrążają się w ziemię: snać schodzimy ku królestwu tak dokładnie opisanemu przez poetów.

„Pieczara filutów" pełna schowków pomiędzy słupami stalaktytowemi, służy za przedsionek do „gotyckiej nawy" którąby można wybornie na kościół przekształcić. Tuż za nią spotkamy „parlor" (bawialnię) miejsce obrane za jadalnię i główną kwaterę dla turystów, często dni parę spędzających w pieczarze i wymierzających długość krużganków.

Tu i my objadujemy a siadając na sprzętach kamiennych. Bawialnia to rzeczywista. Jest tam kamienna sofa i stoły i krzesła stalaktytowe, olbrzymie lecz dość wierne kopie domowych sprzętów; jest i fortepian lecz bez nóg, gdyż gipsowa płyta leżąca obok kanapy, zupełnie przypomina kształtem starożytny klawicymbał powalony na ziemię. Słowem całe urządzenie sali podziemnej usprawiedliwia nadane jej nazwisko bawialni. Mnóstwo krużganków prowadzi z niej do innych części pałacu czarodziejskiego, długość tych krużganków niewymierzona dotąd, pomimo że zapuszczano się w niektóre kilka tysięcy kroków. Bez kłębka i nici Aryadny zabłądzić w nich łatwo, krzyżują się bowiem i plączą najrozmaiciej. Jeden z nich istny labirynt wprowadza do „sali zbójców" w której przed laty w istocie kryli złoczyńcy zdobycz i ciała pomordowanych osób. Okropny to miał być widok gdy policya odkrywszy kryjówkę, dotarła po upartej walce aż do tej sklepionej piwnicy. Stan Missuri liczył podówczas ledwie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, półmilionowa dziś St. Louis było wioską nadrzeczną, nie dziw więc, że przez długie lata bandy opryszków znających jaskinie dokładnie, rozbijały po kraju do woli.

Inny bardzo spadzisty i wilgotny przechód, sprowadza z bawialni do rodzaju galeryi przerwanej raptownie głęboką szczeliną. Dna jej oko nie dojrzy w ciemności, nie dojrzałoby nawet przy świetle dziennem. Szum wody dolatuje ucha głęboko pod ziemią płynie pewno tam strumień i musi być potężny. Głaz spory ciśniony w szczelinę huczał długo, lecz plusku jego dosłyszeć nie mogliśmy, znak oczywisty że rzeka oddalona od nas.

Szeroka deska służy za kładkę: po niej dostajemy się na przeciwny brzeg parowu, choć nie bez trudu, gdyż panie wzdrygały się długo za nim wstąpiły na most tak wątły.

U końca galeryi odkrywamy „groty czarodziejek" ozdobione w festony iskrzących jak szkła stalaktytów, często splecionych niby ręką ludzką w tkane arabeski. Liczby i nazwę wszystkich sal zwiedzonych nie pomnę już, lecz wiem, że trudno roztrzygnąć która piękniejsza i wspanialsza. Ostatnia zawiera sadzawkę małą o spadzistych brzegach. Wątła istota, o której wspomniałem poprzednio, z ciekawością godną córki Ewy, pochyliła się chcąc dojrzeć wodę; pochodnia niespodzianie z rąk jej wypadła i sycząc toczyła się po urwistym brzegu. Chcąc schwycić ją właścicielka zsunęła się po mokrej glinie i znikła z oczu na chwilę.

Plusk oznajmił nam, że wpadła w wodę bardzo głęboką. Bez wahania trzech nas umiejących pływać, spuściło się za nią na łeb na szyję. Pogubiliśmy światła, ja straciwszy równowagę zkoziołkowałem do zimnej jak lód topieli, przewodnik niemniej niezgrabny nabił sobie prócz tego ogromnego guza. Ziomek mój dopadłszy wody usłyszał szelest i krzyk kobiecy, i pomimo piekielnej ciemności słuchem się kierując, schwycił rąbek sukni wątłej istoty, szczęściem zaczepionej na głazie. To uratowało życie właścicielki sukni: widocznie moda noszenia długiego trenu, doprowadzona do ostateczności w Ameryce, ma i zalety swoje. Właśnie gdy i mnie udało się wydobyć z wody kierując się ku pochodni trzymanej przez Amerykanina, na brzegu usłyszałem następny dyalog angielski.

— Czyż to ty Karolu? pyta wątłe stworzenie.

— Ja, odrzekł mój ziomek mający toż samo imię jak Amerykanin.

— Uratowałeś mi życie, Bóg ci zapłać! To mówiąc wątła istota zemdlała w ramionach jego. Wołania jednego Karola sprowadziły na dół i drugiego z pochodnią, wydobyliśmy więc ją zupełnie z wody, otrzeźwili i wynieśli na brzeg. Mokrzy i zziębli radziśmy byli, gdy po godzinie chodu znów ujrzeliśmy światło dzienne i uczuli ciepło wiosennego słońca, choć chylące się już ku zachodowi. Pod włoskiem prawie niebem tej okolicy murawa, i bór nadrzeczny cudną oblane zielonią, tętniały głosami świerszczy polnych i świegotem ptaków, a chociaż nie śpiewają tutejsze skrzydlate mieszkanki lasów, lecz nawet wrzask ich miły po grobowej ciszy podziemia.

Uważałem, że wątła istota już nie mego ani przewodnika potrzebowała ramienia. Przekonawszy się że nie kuzyn Karol lecz cudzoziemiec Karol wydobył ją z wody, nie opuszczała ramienia wybawiciela. On widocznie rad z ciężaru pozostawał w tyle. Nieznający się przedtem, od tej chwili nie tylko się poznali lecz i zupełnie zrozumieli.

Przewidywałem, że Karol wpadnie w łapkę, i że obawy me wypowiedziane przed wycieczką nie były płonne. Szczerze się ciesząc, że nie mnie spotkało szczęście dobycia wątłej istoty z sadzawki; szedłem wzdłuż murawy wcale w dobrym humorze i nie patrząc pod nogi.

Mało też nie nadeptałem na grzechotnika z ziembłego, leniwego i pewno po raz pierwszy tej wiosny wygrzewającego się na słońcu. Lekki szelest niby grochu w bębenku zatrzymał mnie, dawny zwyczaj skoczenia w tył na szelest w trawie, wstrzymał od nadeptania. Zanim obejrzałem się za prętem by zabić płaz ohydny, jedna z Amerykanek, prawdziwa córka zachodu, cięła go deszczochronem i choć złamała rączkę parasola ubezwładniła węża. Nigdy nie zapomnę tej śmiałości w dziewczęciu wykształconem i bardzo młodem. Europejska dama zemdlałaby pewno na sam widok grzechotnika, wspinającego się ku niej z pomiędzy trawy i polnych kwiatów, poruszającego rubinowym widełkowatym językiem niby płomykiem, i szeleszczącego grzechotką.

Wnet po zabiciu węża ujrzeliśmy mieścinę Hannibal. Ziomek mój zawołał do mnie „ante portas Hannibalis" uśmiechając się z własnego dowcipu. Damy nie rozumiejąc go, natychmiast poczęły mnie i Amerykanina pytać o znaczenie słów wypowiedzianych. Wytłomaczywszy im sens zdania i dowcipu, na skinienie Ciotuni musiałem pozostać z towarzystwem.

— Ziomek pański bardzo ukształcony człowiek, rzekła.

— Przebył zwykłe europejskie szkoły, odparłem.

— Ależ on mówi po łacinie!

— U nas uczą w niższych szkołach tej mowy.

— Zawsze to pięknie mówić po łacinie, gdy się ma majątek ku oddawaniu się naukom.

— Niestety, rodak mój oprócz dzienniczka nic nie posiada.

— Może tem stateczniej zarządzać mieniem gdyby mu w ręce wpadło.

Domyśliłem się kierunku całej indagacyi, wynosiłem go pod niebiosy. Przez cały ten wieczór i nazajutrz rano, mogłem dostrzedz coraz poufalsze rozmowy pomiędzy nim a wątłą istotą. Przy pożegnaniu zaproszono nas obu byśmy odwiedzili niebawem fermę

należącą do rodziny. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że połowa bardzo pięknego futoru należy do kuzynki, druga połowa do kuzyna niegospodarującego lecz żyjącego w mieście.

Zmuszony wracać do Minnesoty nie zwiedziłem fermy, lecz wiem kto obejmie jej zarząd na przyszłą wiosnę.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
OD X DO XII STULECIA.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

W poprzednich numerach niniejszego pisma, skreśliliśmy treściwe sprawozdanie o stanie literatury rossyjskiéj z ostatnich lat dwudziestu. Zaczęliśmy od najnowszych czasów, jako więcej obchodzących ogół czytelników naszych; teraz, cofając się w przeszłość, podajemy szkic początku i rozwoju piśmiennictwa rossyjskiego, od czasu zaprowadzenia chrystyanizmu, a tak z kolei przejdziemy wszystkie epoki i wieki, aż do czasu od którego rozpoczęliśmy przeszły artykuł.

Jak wszędzie w ogóle, tak i w Rossyi, pierwszych objawów powstającego piśmiennictwa, dostarczyły dzieła i utwory treści kościelnéj i religijnéj, od tych więc rozpoczynamy sprawozdanie nasze, podając krótki szkic literatury od Xgo do XIIgo wieku.

PIŚMIENNICTWO KOŚCIELNO-RELIGIJNE.

Kiedy w roku 988 Książe Włodzimierz przyjął chrzest święty z synami, szlachtą i ludem, dała się uczuć potrzeba książek treści religijnéj, które mogłyby nauczać i objaśniać zasady nowo przyjętej wiary chrześciańskiéj i utwierdzić ją w sercach i umyśle nowo nawróconych. W owym czasie Słowianie naddunajscy, których język bardzo jest zbliżony do rossyjskiego, posiadali już bogatą literaturę kościelną, przeto zaczęto czerpać z tego źródła. Kilku kapłanów przybyło zaraz z Grecyi, następnie znaczniejsza liczba z Bulgaryi a nakoniec z Serbji. Zakonnicy bulgarscy sprowadzili z sobą znaczny zbiór dzieł religijnych, przełożonych przez apostołów słowiańskich, Cyryla i Metodego, jakoteż przez ich najoświeceńszych uczni. Im to zawdzięczyć trzeba przekład większej części dzieł Ojców Kościoła, a między innemi dzieł trzech wielkich Świętych, Bazylego, Grzegorza Nazyaneńskiego i Jana Chryzostoma.

Cały ten bogaty zbiór dzieł religijnych, składał się głównie: z wykładów Pisma św. z kazań i z wyjątków treści dogmatycznéj, etycznéj lub filozoficznéj, zaczerpniętych z doktorów Kościoła i kilku filozofów chrześciańskich. Ten zasób dzieł odpowiadał dostatecznie celowi, do którego zmierzało duchowieństwo, to jest do kształcenia przyszłych kapłanów, oświecenia i umoralnienia ludu, przez nauczanie ich dogmatów wiary i wpajanie zasad religijno-moralnych.

Mając jedynie na względzie nauczanie specyalne, jakie dziś zazwyczaj pobierają tylko kandydaci do stanu duchownego, duchowieństwo trzymając się ściśle tego wytkniętego raz kierunku, nietylko domagało się aby wszelka praca umysłowa nosiła na sobie wyłącznie piętno religijne, ale nadto potępiało i prześladowało wszelkie utwory niezależnéj wyobraźni lub budzącego się uczucia, upatrując w tem wszystkiem pogańskie pochodzenie. Uwzględniano tylko postanowienia i pisma rządowe, które albo wcale nie wkraczały w dziedzinę właściwą piśmiennictwa, lub też miały pewną dążność moralną, jak n.p. Kodeks praw K. Jarosława. (Ruska prawda). Swoboda myśli i polot uczucia, cechujące piśmienictwo naukowe i literaturę nadobną, znacznie później dopiero zdobyły sobie prawo bytu, w miarę rozwoju spraw wspólnych całej ludzkości i pojawiania się ludzi zdolnych, szukających sposobności i możności wygłoszenia swych myśli i pojęć.

Starożytne pomniki cerkiewnego piśmiennictwa rossyjskiego, można podzielić na dwa rodzaje: na czysto budujące i na historyczne. Pierwsze pojawiły się w formie kazań, nauk i listów, skierowanych do różnych dostojników państwa, miały one cel podwójny: wykład dogmatów wiary chrześciańskiej i potępienie pogańskich zabobonów oraz złych i nieokrzesanych obyczajów ludu. Ten ostatni sposób zapatrywania mógłby dostarczyć ciekawych szczegółów o stanie ówczesnego społeczeństwa, ale liczba ich jest nader ograniczona, ponieważ wówczas duchowieństwo jako nie będące rossyjskiego pochodzenia, nie troszczyło się o publiczne i prywatne interesa narodu.

Takie są ogólne cechy literatury cerkiewnej, podczas długiego okresu, od wprowadzenia chrześcianizmu aż do czasu Piotra Wielkiego.

Z dzieł należących do epoki poprzedzającéj najście Tatarów, zasługują na szczególną uwagę prace wielebnego Teodozego i Cyrylla, biskupa turowskiego.

W swoich *Homiljach* Teodozy potępia zwyczaje pogańskie, nie wypełnianie obowiązków chrześciańskich, nieprzyzwoite zachowanie się w cerkwiach zaniedbywanie postów i nieszanowanie świąt. W *Homilji do braci* wyrzuca i strofuje surowo mnichów za występne życie w monasterach.

Dzieła Cyrylla, biskupa Turowskiego (1185) są wzorem owoczesnej wymowy religijnej i dla tego zjednały mu one przydomek *Złoto-ustego*. Do naszych czasów dotrwały: Kazani a na niedzielę, przepisy moralne, modlitwy i zasady pokuty. Pod względem treści jego kazania i przepisy moralne nie przedstawiają nic szczególniej zajmującego, ponieważ rozjaśniają tylko główne zasady chrystyanizmu, ale odznaczają się formą symboliczną wynikającą z alegorycznego punktu widzenia, z jakiego zapatrywano się wówczas na ludzi i rzeczy.

W *Parabolli księdza świeckiego*, duch, dusza i ciało, reguły i zgromadzenia zakonne, oraz pamięć, upostaciowane są jako król i jego córki, miasto, pieczara, mąż i żona. Symbolika rozwijająca się w starodawnej literaturze rossyjskiej jest zabytkiem byzantyjskim a źródłem jej są przyrównania ewangieliczne. To pochodzenie tłomaczy zarazem inną jeszcze cechę metody wykładu Cyrylla; opowiadanie przybiera często u niego zwrot dramatyczny i formę dialogu. Wprawdzie dykcya staje się tym sposobem więcej ożywioną ale za to traci wiele pod względem naturalności, skoro wchodzące osoby zamiast występować w postaci ludzkiej, są przedstawione przez przedmioty lub przymioty upostaciowane alegorycznie.

Głównemi utworami ówczesnej literatury historycznej rossyjskiej: są *Żywoty Świętych* i *Kroniki*. Żywoty Świętych i Ojców Kościoła są tylko naśladowaniem dzieł bizantyjskich tego rodzaju. Pisarze rossyjscy ułożyli Żywoty: Teodozyusza, Antoniego Rzymianina, Leoncjusza i Izajasza, cudotworców z Rostowa, Kniaziów Borysa i Hleba. Następnie połączono te pojedyncze żywoty lub tylko porobiono z nich wyciągi i nadano temu nazwę: Prologów. Prologi te tem się różniły od żywotów Ojców Kościoła, iż zawierały jeszcze ustępy z historyi kościoła. Dzieła te czytali z zajęciem ludzie ukształceni, a duchowni czerpali z nich materyał do kazań: dziś dla historyka cywilizacyi i literatury, przedstawiają wiele ważnych danych dobrze charakteryzujących ówczesną epokę i wiele poglądów o pojęciach i przekonaniach wielu ówczesnych pisarzy.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

O NIEKTÓRYCH DZIEŁACH
WYDAWNICTWA PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

przez L.

(Dokończenie).

W końcu nie możemy wstrzymać się, ażeby nie przytoczyć jeszcze poglądu autora na rozwój uczuć moralnych: da to najlepszą miarę wartości jego teoryi. Jakbyście sądzili, czytelnicy i czytelniczki, zkąd biorą się w nas „miłość prawdy, wspaniałomyślność, miłosierdzie, zaparcie się samego siebie" i inne cnoty? Oto rozwijają się one „częstem powtarzaniem (po polsku: wskutek częstego powtarzania) w świadomości namiętnych wyobrażeń (czysto wzrokowych lub słuchowych), których jaskrawa strona przedstawia wszystkie wyżej wymienione przymioty" (str 157). I dalej „*w gruncie naszego namiętnego uwielbienia cnoty i odrazy dla* (do) *występku, zawiera się tylko niezliczony szereg psychicznych odruchów* (to tylko nazwa trochę inna ale, na mocy powyższego, zawsze to mechaniczne odruchy), *gdzie namiętność z koloru czerwonego pierwszej lepszej zabawki przenosi się na szkarłatny płaszcz rycerza na obrazie a ztamtąd na siebie samego (1) przybranego w rycerską zbroję, przenosiła się dalej z konkretnego wrażenia to na pojęcia cząstkowe to jest przymioty rycerza, to znów na konkretne obrazy nowych form, a porzuciwszy nakoniec rycerską postać, przeniosła się na podobne przymioty u chłopa, żołnierza, urzędnika lub generała.* (str. 158). Jeżeli nasi czytelnicy nie bardzo zrozumieli tę zawiłą i ciemną frazeologię (właściwą ciężkiemu stylowi tłomacza), pośpieszamy, należycie przestudyowawszy cały ten rozdział, dać bliższe wyjaśnienie. Rzecz tak się ma: cześć dla cnoty i zasad moralnych powstała w tobie, miły czytelniku, (płci męzkiej oczywiście) ztąd, że w dzieciństwie nosiłeś czerwoną czapeczkę i bawiłeś się w żołnierzy: potem bowiem zacząłeś uwielbiać malowane wizerunki żołnierzy, następnie samego siebie, niby rycerza strojnego w czerwoną czapeczkę i z szabelką u boku, a potem gdy z opowiadania (piastunek, rodziców i t. d.) dowiedziałeś się że jedni rycerze byli zacni, mężni, wspaniałomyślni, i t. d. a drudzy—źli, chciwi, rabusie, i t. d. zacząłeś *namiętnie* kochać i uwielbiać pierwszych, a nienawidzieć drugich (dla czegoby nie odwrotnie?) i tym sposobem doszedłeś do pojęć moralnych.

Prawda że teorya głęboka i dowcipna? Szkoda tylko, że autor nie mówi zkąd cześć dla cnoty mogły nabyć kobiety, które przecież, jak się zdaje, nie bawią się szabelkami? Czyżby tym samym sposobem wszystkie cnoty dały się wyprowadzić od lalki? Albo jakie znowu pojęcia moralne będą mieli ci mężczyźni, którzy w dzieciństwie nie bawili się w żołnierzy i nie mieli czerwonych czapeczek ale bawili się przypuśćmy (dla czegóżby nie?) w złodziejów i zbójców? Tacy prawdopodobnie mieliby całkiem oddmienne od rycerskich swych rówienników pojęcia, i nie byłoby w tem nic złego skoro, według powyższej teo-

---

1) *Namiętność* przenosi się na siebie *samego*, namiętność przybrana w zbroję? Wina to już nieudolności tłomacza.

ryi, pojęcia te nabywają się przypadkowo za pomocą wzroku i słuchu!

Nie mamy już odwagi przytaczać teoryi miłości którą podaje autor (łatwo domyślić się w jakim guście) ani dziwnych jego rozumowań w obronie ślepego jakiegoś fatalizmu, gdy przeciwnikowi swojemu odpowiada, że i to samo jest koniecznością ażeby on nie milczał lecz mówił, i to jest koniecznem ażeby on zaprzeczał autorowi.

Skorzystamy tylko z tej teoryi w tym punkcie, że jeżeli zmuszeni byliśmy czytać „Odruchy” zaprawdę była to smutna ale snać nieunikniona konieczność.

Wszelako i takie dzieła zdaniem naszem powinny przynosić tę przynajmniej a nieposlednią korzyść, żeby pobudzać do zastanowienia się nad kwestyami, w których ten i ów swobodnie burmistrzuje, urągając się nauce i zdrowemu rozsądkowi. Ponieważ z powodu dziełka, o którem mowa, nikt nie odezwał się w naszej prasie, wzięliśmy więc na siebie niewdzięczną i mozolną pracę choć może nie całkiem nieużyteczną, jeżeli pobudzi kogo z czytelników do rozstrząsania tak ważnych zagadnień.

Co się tyczy samego przekładu, podaliśmy już powyżej kilka próbek ciężkiego i zawiłego niepoprawnego stylu: mało on właściwy językowi polskiemu, widocznie tłomacz zbyt niewolniczo trzymał się oryginału. Trafiają się także i pojedyncze grube błędy jak np. „nie umie dobrze rozróżnić kolory mniej jaskrawe” str. 119), „słuchać różne przejścia” (str. 151); „namiejętny” i „beznamiejętność” (po kilka kroć na str. 167 i 169) itp.

Rzeczy bieżące.

Chomiński skończył w przeszłym tygodniu 35 lat pracy scenicznej. O zasługach tego zdolnego i sumiennego artysty nie potrzebujemy się rozwodzić, gdyż znane są one wszystkim, co z zajęciem śledzili rozwój sceny krajowej. Chomiński należy do starego pokolenia artystów, do szczupłej garstki tych niezmordowanych pracowników, którzy miłością dla sztuki porwani jedynie szli naprzód przez ciernie i głogi. Nie odstraszała ich ani obojętność ciemnego tłumu, który w aktorze od niezbyt dawnego czasu zaczął dostrzegać człowieka, ani licha płaca nie wystarczająca nieraz na najkonieczniejsze potrzeby. Idąc tak, byli prawdziwymi bojownikami postępu, dorzucali po cegiełce do wznoszącego się zwolna przybytku narodowej sztuki scenicznej.

Przez cały czas trwania swego pracowitego zawodu, Chomiński zdążał wytrwale ku coraz szerszym, coraz rozleglejszym horyzontom sztuki. Miewał kreacye szczęśliwsze i mniej szczęśliwe, jak każdy artysta, ale niepowodzenie go nie zrażało a poklask, choćby najgorętszy nie kazał mu zasypiać na laurach. Czynny, intelligentny ten aktor badał nieustannie naturę ludzką w jej niezliczonych przejawach, i każdą prawie rolę trzymać umiał w granicach prawdy życiowej, poruszając niejednokrotnie nerwy śmiechu widzów, śmiało i trafnie zaobserwowanym rysem typowym.

Komedye Fredry i Korzeniowskiego stanowiły grunt na którym talent komiczny Chomińskiego najswobodniej się rozwijał. Tutaj artysta znajdował niewyczerpane skarby pomysłów dla gry żywej, intelligentnej, pełnej szczerego humoru. Z szczególnem też zamiłowaniem traktował artysta postacie swojskiej komedyi, rzec można zespalał się z niemi, żył ich życiem, przejmował się do głębi wybitną drgającą w nich indywidualnością. Niespożytą zasługę Chomińskiego i główny tytuł do wdzięczności i pamięci ogółu, stanowić będą kreacye takie jak Papkin w Zemście za mur graniczny, Lisiewicz w Geldhabie, Pazurkiewicz w Żydach lub wreszcie ten Mateusz szeregowiec w Starym Mężu, wybrany przez artystę na rolę benefisową.

Stary Mąż nie należy do najlepszych utworów scenicznych autora Cyganów i Karpackich Górali. Korzeniowski w niektórych komedyach swoich grzeszył tem głównie, że za osnowę utworu brał pojedynczy, oderwany wypadek z życia. W starym Mężu ta właśnie przyczyna wywołała wadliwość sztuki. Stary sędzia Janikowski żeni się z młodziutką sierotką, córką swego najlepszego przyjaciela, dla ustalenia jej losu, uratowania od nędzy. Był to błąd, gdyż należało obrać inny, więcej z naturą stosunków ludzkich zgodny środek wypełnienia filantropijnego dzieła. Bądź co bądź, pan sędzia prędko spostrzega, że jego wdzięczna żoneczka blednie i więdnie, że uczucie wdzięczności i chęć poświęcenia się dla dobroczyńcy nie są w stanie zapełnić tego dziewiczego, bezświadomie do innych wzruszeń tęskniącego serduszka. Janikowski jest człowiekiem uczciwym; zrobi wszystko, aby zerwać nienaturalny, brudnemu tylko egoizmowi dogadzający związek. Dla dojścia jednak do tego celu, wybiera znów środek niebezpieczny i śliski, dowodzący raczej chorobliwego maniactwa, aniżeli postanowień z dojrzałego rozumu i zacnego serca biorących źródło. Dowiaduje się z gazet o istnieniu jakiegoś imiennika swego, młodego Stanisława Janikowskiego, sprowadza go do siebie, i kieruje rzeczy w ten sposób, aby młodzi ludzie poznali się i pokochali. Wyrachowania starego nie zawodzą, serca Józi i Stanisława zapalają się miłością wzajemną, której szlachetne ofiary postanawiają rozłączyć się na wieki, nie chcąc zdradzać i hańbą okrywać siwych włosów dobroczyńcy. Wtedy występuje sędzia i z ojcowskim uśmiechem łączy dłonie zakochanych, donosząc że rozwód już przygotowany.

Główną wadą komedyi jest brak walki wewnętrznej w starym Janikowskim i ten rodzaj igraszki, jakiej sobie względem serc młodych i ogniem zapału wrzących pozwala. Jestto postać dobroduszna i uśmiechnięta filuternie, przepędzająca wesołą starość po życiu uczciwem a nie wielu troskami zmąconem. W powieści postać taka mogłaby się rozwinąć w arcydzieło rodzajowego zakroju, rzucone w zawiłości akcyi scenicznej szwankuje niewykończeniem, bladością kolorytu brakiem tej pełni charakteru, którą każda postać dramatu żyć i oddychać powinna. Przed oczyma widza uchodzą subtelne psychologiczne pobudki, delikatne drgnienia uczuć i myśli a występują na jaw tylko czynny nie jasne i nie dość sprężyste.

Nie mając zamiaru kreślić tu rozbioru komedyi, ograniczamy się tą krótką wzmianką, dodając jedynie że pod względem stylu, charakterystyki figur drugorzędnych i budowy scen, Stary Mąż podobnie jak każde dzieło Korzeniowskiego za wzór służyć może.

Benefisant grał wzorowo rolę Starego wiarusa, postać rubaszną, zamaszystą, kryjącą skarby tkliwych i zacnych uczuć pod osłoną powierzchowności szorstkiej, trudami i walkami życia pokiereszowanej.

Rezultat materjalny benefisu nie był zbyt świetny. Chomiński w tym dniu ważnym i pamiętnym dla niego, otrzymał w darze wieniec laurowy, zegarek złoty z napisem, serdeczne uściśnienia i życzenia kolegów, wreszcie entuzjastyczny poklask tych, co bez względu na szalony upał przybyli złożyć dowody uznania przedstawicielowi sztuki.

Rozpisaliśmy się o tem jubileuszowem przedstawieniu szerzej może, niż nam pozwalały ramy tej rubryki. Uważaliśmy jednak za obowiązek choć tym sposobem wyrazić naszą wdzięczność temu, którego przez lat wiele przywykliśmy cenić, jako artystę i człowieka. Wolni od wszelkich przesadzonych uwielbień, wycigamy do sędziwego benefisanta dłoń bratnią z starem: „Bóg zapłać za wytrwałą i zacną pracę dla sceny krajowej.”

A teraz przyznać musimy, że tydzień upłyniony zrodził w nas wiele wrażeń przyjemnych, pocieszających. Byliśmy obecni przy pierwszym zawiązku osad rolnych, gdzie młode, jadem zepsucia zatrute latorośle mają odżywiać się pod wpływem zbawczych promieni światła i miłości, podziwialiśmy pracę i gorliwość kierowników Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, tę czynną, szlachetną przędzę coraz potężniejszych środków dla ulżenia doli nieszczęśliwym. Widzieliśmy łzy rozczulenia płynące z oczu istot pozbawionych słuchu i mowy, wyrywanych przez kalectwo z boskiej atmosfery uczuć i wrażeń,—łzy gorące, łzy szczere przy rozdzielaniu nagród za koleżeństwo. Trzeba widzieć z jaką czcią, z jakiem poszanowaniem, z jaką religijną niemal pokorą wzrok tych nieszczęśliwych dzieci śledzi każde poruszenie Kierownika zakładu i jego dzielnych pomocników, aby zrozumieć, jak doniosłem i wielkiem jest zadanie nauczyciela w społeczeństwie, co powołanie to zdziałać jest zdolne, do jakich czynów może być podniętą, jakim uczuciom niespożyte stwarza ognisko!

Z prawdziwem współczuciem przyjęła również publiczność Warszawska, pierwsze występy początkującej orkiestry konserwatoryum Muzycznego. Wyobraźcie sobie tę Dolinę Szwajcarską, w której tyle razy Bilse sowitą pobierał daninę,—przepełnioną teraz tłumem słuchaczów, uważnych, dobrotliwych, z twarzami przystrojonemi w łagodny, ojcowski uśmiech. Na estradzie kilkadziesiąt dzieci, usadowionych przed pulpitami, nieśmiałych, drżących, wpatrzonych jak w tęczę w pałeczkę Dyrektora. Na raz dyrektor daje znak, cisza zalega dokoła, instrumenta poruszają się miarowym taktem i powietrze napełniają dźwięki równe, harmonijne, zgodne, że aż liście na drzewach poruszają się radośnie.

— Patrzcie no!.. to orkiestra—mruczy na boku poważny jakiś znawca.

— Tak, odpowiada drugi, braknie jeszcze przejęcia się duchem utworu, ale jest dążenie, jest praca, jest znajomość instrumentów i doskonałe trzymanie się w takcie.

Słuchacze biją tymczasem oklaski młodziutkiej orkiestrze.

— Wiesz co, odzywa się ktoś w innej gruppie do znajomego, mnie się zdaje, że Bilse, Straus i inni nie będą już odtąd potrzebowali budzić w nas zamiłowania muzyki. Nasza własna orkiestra ich zastąpi.

— Zapewne—odrzecze drugi—ale naszem zadaniem powinno być utrzymanie tej orkiestry. Konserwatoryum zrobiło swoje i pięknie zrobiło. Ale czy tylko my będziemy się zbierać tak licznie choćby do Doliny Szwajcarskiej, gdy to grono młodych ludzi stanie się naprawdę Orkiestrą i naprawdę muzyką.

Słyszeliście już zapewne czytelnicy o Komitecie wyznaczonym z polecenia JW. Generał Gubernatora, o mającym zająć się ważną kwestją służących w Warszawie. Prasa codzienna potrąciła już o ten przedmiot, narzekając na demoralizacyą sług, obciążając zarzutami kantory stręczeń, niedostateczności kontroli i zbytnią łagodność środków karnych. Wszystko to prawda, ale zdaniem naszem najdoskonalsze kantory i najsurowsze kary nie wytworzą dobrych służących. Zastanówmy się tylko, co zrobiła społeczność dla tej klassy służebniczej, która od tak dawna zajmuje moralistów i myślicieli.

Czy starano się o podniesienie w niej oświaty, jedynie trwałej podstawy uczciwości. Czy pomyślano o wytworzeniu instytucyi zabezpieczającej byt służących na starość lub w niemocy? Czy wytworzono dla nich miejsca rozrywek przyzwoitych? Był czas, kiedy nasze panie w każdą niedzielę i święto szły ochoczo do Szkółki wykładać służącym religię, prawdy moralne

i elementarne zasady nauk. Ale trwało to krótko, jak wszystko co się robi dla mody jedynie, i nie dla rzeczywistego pragnienia dobra ogólnego.

Niechże te chwilę powrócą,—niech każda pani składa choć złotówkę na tydzień do kassy oszczędności na rzecz pracowitej i gorliwej służącej, niech będą urządzone pod nadzorem Opiekuńczego Komitetu instytucye, w którychby się służba wesoło i poczciwie bawiła. Jestto wdzięczne pole do działania dla wszystkich ludzi dobrej woli a szczególniej też dla kobiet naszych. Pragniemy emancypacyi wszyscy..... emancypujmyż się ale na drodze czynnej i gorliwéj solidarności z potrzebami i celami społeczeństwa.

Astronomowie nasi żarliwie zajmują się losami niewidzianej dotąd komety, która już od tygodnia ucisku złocistym ogonem gwiaździste sklepienia. Złota młodzież, kantorzyści i niektórzy przedwcześnie zbiegli z ławek szkolnych młodzieńcy, marzą znów o innych świetnych zjawiskach z astronomią nic wspólnego nie mających, mianowicie o śpiewaczkach i śpiewakach francuzkich, których dzierżawca Doliny Szwajcarskiéj ku uciesze Warszawiaków kilku aż z Paryża sprowadził: widocznie nasze teatrzyki ogródkowe nie dość jeszcze produkują rozkosznego kankanika.

O ubiorach.

Najpospoliciej noszonemi materjałami już od lat kilku, są wszystkie wyroby *écru*, tak wełniane jak jedwabne fulary, lniane i bawełniane. W istocie barwa ta musiała praktycznością swoją zyskać powszechne uznanie. Szarą suknią zarówno nosi wielka elegantka, przodująca wszystkim wybrykom fantastycznej mody, jak i niezamożna osoba, która sprawiając suknię jedną na całe lato, stara się ją wybrać trwałą, ładną i niebijącą w oczy.

Kolor *Pochard* (cień jasny bordeaux, wpadający w lila) *Iris* (popielatawo niebieskawy lub zielonkowaty) są nowością tej pory; wprawdzie mało komu w tych cieniach może być do twarzy, lecz każda moda zostawia adeptom swoim jakąś furteczkę, przez którą pragnące stosować się zawsze do ostatniej wykwintnisie, z całą swobodą przechodzą. Otóż tą swobodną furtką w kostiumie modnej barwy dla blondynki o śniadej cerze, lub brunetki nie dosyć białej, jest odmiennego koloru kaftaniczek bez rękawów, odpowiedni barwie przybierającej suknię.

Śliczny i znakomity wybór takich kaftaniczków, przygotował magazyn Pani Thonesowej, są one bez wyjątku czarne, kolorowe robią się bowiem tylko jako dopełnienie jakiegoś kostiumu, kaszmirowe zwykle naszywają suto w bogatym deseniu, dżetem w sieczce lub paciorezkach okrągło rznietych, wtedy zakończa kaftanik frendzla jedwabna z błyszczącą ozdobą, lub gipiura odpowiednio naszyta. Aksamitne bywają bardzo często zupełnie gładkie, a wypustka jedwabna jedyny ich przybór stanowi; całą zaletą jest tylko śliczny i z prawdziwym wdziękiem wymyślony fason; tych naturalnie koszt jest znacznie niższy od wełnianych drogim dżetem naszytych. Oznaczone są ceną od 20 rs. i tę korzyść oszczędnym i praktycznym osobom jeszcze przyniość mogą, że odświeżą nieco znoszony kostium, którego stanik najpierw zniszczeniu ulega. W skwarny upał tę ulgę zrobić sobie można, iż wyprute kostiumowe rękawy, przyszywają się do białego spodniego stanika, i na to dopiero wkłada się kaftaniczek.

Od kilku lat zaniedbane mantylki, coraz więcej wchodzą w użycie, dużo też ich magazyny nasze przygotowały, bo młode nawet osoby chętnie je wdziewają. Śliczne są i wytworne krojem ich fasony. Ulubione chusteczki *Marie Antoinette* znowu napotyka się często, ta tylko zachodzi różnica w obecnie modnych od tych, którem wierną do śmierci została nieszczęśliwa królowa, że ich nie krzyżują na piersiach, i nie wiążą z tyłu, lecz elegancki karoczek i końce wolno puszczone z przodu, modną odmianę tworzą.

Dolmany i okrągłe peleryny z różnemi podpięciami, strojnemi w tyle, haftowane, zdobne szeroko strzępioną riuszą rypsową, są bardzo zawsze właściwem i poważnem dla starszych osób okryciem.

Między dolmanami odmiana pod nazwą *Dolman Duchesse* a między fantazyjnemi mantylami, *Mantille Charlotte Corday* najwięcej mi się podobały, pierwszy swoją praktycznością, bo miał mniej długie rękawy, właściwość dolmana każdego, co go znacznie dogodniejszym czyniło, w drugiej zaś pełne wdzięku i fantazyi upięcie w tyle, i ładnie skrojone końce przednie, zarzutkom tym cechę wytwornej elegancyi nadawały. Okrycia w ogóle od ceny 25 rs. poczynając, wyższych znacznie dochodzą, w miarę wyboru materyału, kosztowniejszej ozdoby, i pięknego świeżego fasonu.

Dla osób wyjeżdżających do wód widziałam arcydogodne, tanie i chłodne na upał kostiumy. Fason ich bardzo prosty, spódnica gładka z perkalu w pasy i długi do kolan luźny paltot z niewarowego płótna, całe to podróżne ubranie stanowił. Jedyną ozdobą paltota była wypustka biała lub czarna, do koła; w tyle dwoma guzikami spięta patka, zwęża paltot nieco w stanie, przód zaś stroją dwa rzędy dużych, guzików, i wyłożone kieszenie. Kostiumy te są w cenie 15 rs.

Wiele jest jednak osób uznających tylko praktyczność wełny na kostiumy podróżne, otóż tym paniom polecam bardzo materjał *beige parisienne* zwany, który lekkością wyrobu odznaczając się, ma jeszcze tę zaletę, że się mało gniecie.

Wykwintniejsze kostiumy robią się z lekkiej z pięknym bardzo połyskiem *letniej popeliny* (popeline d'été) z *croisette*; materyał zwykle barwy *écru*, na tle bardzo przezroczystem, gęsty *deseń* z *canevas barège* trochę odmienny od noszonego lat zeszłych, z *toile de laine* z *batiste de laine*; śliczna nader lekka pajęcza tkanina. Pokazywano mi także śliczny wybór pudełkowych haftowanych sukien z wyrobów letnich wełnianych i bawełnianych. Kostium zrobiony dostać można od 35 rs. do coraz wyższych cen.

Na zakończenie opisać muszę czytelniczkom naszym ślubne ubranie, które między innemi widzianemi w magazynie pani Thonesowej bardzo było ładne.

Suknia biała ze skromnego tylko muślinu, swoją świeżością i wdziękiem pomysłu, najparadniejszej toalecie mogła nie ustąpić pierwszeństwa. Tylne bryty do połowy zdobiły gęsto układane falbaneczki, oszyte z obu stron wązką koronką, przód miał bryty przepinane, plisowaniem z koroneczką; dopełniała go tunika en tablier, ślicznie na bokach upięta i zakończona w tyle szerokiemi skośno ciętemi, bardzo ładnie upiętemi szarfami z muślinu, z prawego boku biały bukiet z zielenią rzucono od niechcenia na spódnicę, taki sam bukiet zamykał otwarty nieco, puszysto bufami i riuszami przejrzystemi ubrany stanik. Girlanda i kolisty welon dopełniały tego dziewiczego stroju. Toaleta cała oznaczona była ceną 75 rs.

Korzystając ze sposobności polecamy czytelniczkom Tygodnika Mód pracownią sukien damskich, mieszczącą, się przy magazynie Mód na Krakowskiem Przedmieściu wprost Karmelitów Sumienna praca, ceny nader przystępne, wykonanie roboty na czas oznaczony, są to zalety zasługujące na względy publiczności. Pani Rosińska za robotę sukni gładkiej którą starannie z gustem i świeżo wypracuje żąda rs. 3. Kostiumy więcej pracy wymagające, skomplikowane w garnirunku i fasonie najwyżej 7 rs. dochodzą.

Opis ryciny kolorowej.

Ubrania spacerowe.

Fig. 1 Suknia z płótna écru ozdobiona falbaną marszczoną, po nad którą dana wązka plisowana falbaneczka i riusza w miejsce nagłówka. Vêtement przodu otwarte, z boków podpięte prawie aż do paska, zakończone jest plisowaną falbanką i dopełnione krótką mantylką. Wzdłuż przodów dane wielkie guziki z konchy perłowéj. Duży okrągły kapelusz podgarnirowany od spodu riuszą niebieską, z wierzchu ma sutą siepaną riuszę jedwabną, ułożoną w kształcie girlandki, w środku któréj wpięty pęczek stokrotek różowych i białych. Długie szarfy z wstążki rypsowéj jedwabnéj, w kolorze riuszy, przyszyte są od spodu, puszczone luźno i po związaniu przepięte klamrą z konchy perłowéj. —

Fig. 2. Suknia z lekkiego wełnianego materjału w dwóch cieniach koloru oliwkowo-rezedowego. Z materjału ciemniejszego dodane są plisy, kokardy, przybranie na rękawach i kreza pod szyją. Na przednim brycie naszyte są cztery zęby, odznaczone ciemnemi plisami i poczwórnemi rzędami z drobno lecz suto marszczonych bufek materjału sukni. Z boków sukni idą szerokie ranwersy lub tylko odznaczone plisą przez całą długość spódnicy. Z tyłu szeroka falbana i pięć rzędów wody dopełnia przybrania. Tunika zachodząca tylko na tylny bryt sukni, podpinana w górze, zakończona jest ciemną plisą. Kapelusz biały bastowy objęty aksamitem, przystrojony koronką, woalem, kitką z piór pąsowemi różami i girlandką z liści jesiennych barw.—

Parasolik czarny jedwabny z podszewką koloru sukni, zawieszony jest na długim stalowym łańcuszku, przypiętym kokardą do paska.

KORESPONDENCYA.

Pani L. B. Egzemplarz fotograficzny o jaki się zapytywano kosztuje rs. 1 kop. 50 przesyłka pocztowa kop. 50.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.